

Stado – 9 – Rozpoznanie

16 listopada 2010

„Spełnij więc czyn należny, bo czyn lepszy jest od bezczynności, a przy tym, gdybyś był bezczynny, nie dokonałoby się twe cielesne życie.”

Bhagawadgita III – 8

W nieczynnej od lat kopalni węgla, w pobliżu rzeki Yellowstone, niedaleko Miles City w stanie Montana, na głębokości ośmiuset metrów, urządzono skromne Centrum. Organizatorami i praktycznie również wykonawcami, instalatorami, dostawcami, byli Ronson, Caster, dwóch upoważnionych ludzi Prezydenta, czyli Warren z prawą ręką Koenem i trzech z dwunastki, sprowadzonych przez Warreną w trybie nagłym z Francji, Afryki i z Chin. W sumie siedmiu ludzi. Odludne miejsce, a zwłaszcza głębokość pomieszczeń, miały gwarantować, choć ze znaczną przesadą i ostrożnością, niedostępność, barierę informacyjną dla Obcych, aktywnych pasożytniczo głównie w dzień, jak zgodnie zapewniali Długowieczni. Minimalna liczba członków Centrum i najwyższy stopień utajnienia misji miały też z jednej strony zapewnić spokój i właściwe warunki pracy zespołu, z drugiej, niemożność natrafienia przez Obcych na najmniejszy ślad emocjonalny w przypadkowo nawet penetrowanym umyśle, co zresztą w tej bezludnej okolicy było rzeczą wysoce nieprawdopodobną.

Podczas dnia cały zespół przebywał na dole, instalując się powoli i aklimatyzując – w nocy windowali się na świeże powietrze jak kto mógł. Czterech panów wzlatywało po prostu pionowym szybem, jedyną możliwą drogą, nawet nie korzystając z pomocy lamp górniczych, będących w ekwipunku ekipy. Wyglądało to bardzo dziwnie i komicznie jednocześnie, niczym w jakimś tandetnym filmie dla niedorozwiniętej, egzaltowanej młodzieży. Pozostali ładowali się na skleconą pośpiesznie drewnianą platformę, wyposażoną w miniaturowe, antygravitacyjne zespoły napędowe i powolutku, ostrożnie, również windowali się na

górze. Tam, wśród skał, rozpalali ognisko i dyskutując zawzięcie, zasypiali potem mniej lub bardziej spokojnie. Zawsze jednak jeden z Długowiecznych pełnił wartę, zwracając szczególną uwagę na niewyczuwalne dla zwykłych ludzi symptomy zbliżania się Obcych. Co dwa dni odbierali z niedalekiej kotlinki wieczorne zrzućy żywnościowe, wykonywane przez wojskowy śmigłowiec, naprowadzany wiązką mikrofalową, generowaną w prosty sposób przy wykorzystaniu idealnie się do tego celu nadającej, miniaturowej elektrowni RC.

Zespół postawił sobie jedno, jedyne zadanie. Rozpoznać możliwości i opracować metodykę trwałego, raz na zawsze, pozbycia się Obcych, bazując na osiągnięciach spółki Ronson & Caster.

Na początek Warren, po krótkiej naradzie z pozostałymi członkami Zespołu, zwłaszcza dwójką wynalazców, kontaktując się przez łącze satelitarne z odpowiednimi służbami, spowodował nagły zwrot w reakcjach opinii społecznej na jakże obiecujące rewelacje techniczne obu uczonych. CMM, na super oblięujące zlecenie rządowe, opracowała i wyemitowała kilka krótkich, sprytnie spreparowanych i z nieodzownym udziałem obu bohaterów słynnego show, programów, dezawuuujących wszystkie ich osiągnięcia, traktujących całą sprawę jako rodzaj testu socjologicznego czy też żartu, w rodzaju pamięćnej audycji radiowej Orsona Wellesa o najeździe Marsjan.

Perfidne, szyte grubymi nićmi kłamstwo propagandowe. Uspokojenie przyszło nad wyraz szybko i łatwo. Jednak telewizja to straszliwa jak się kolejny raz okazało, niszcząca rozum potęga, a świadomość i zdolność samodzielnego myślenia we współczesnym społeczeństwie, w tłumie poszatutowanym na jednostkowe pośladki, fotele i miękkie kapcie, stoi na żałośnie niskim poziomie. W takich przypadkach ludzie, masowi oglądacze, są jak chore na odmóżdżenie, bezmyślne dzieci, którym bez żadnych problemów można wmówić dowolną bzdurę, byle podaną w pseudonaukowym sosie, najlepiej przy domyślnej, aprobującej i łaskawej zgodzie czynników rządowych. Ale

jeszcze łatwiej ładować w nich niewyczerpalną rzekę standardowych emocji, najlepiej sportowych, bo już kompletnie nie wymagających żadnego opracowania fabularnego, scenariuszowego. Dobrze są też tasiemcowe, beznadziejnie idiotyczne seriale z dużą ilością szpanerskich blondyn i eleganckich, ociekających w marmury i złoto pomieszczeń. O zdrowym, przaśnym seksie, nie warto już nawet wspominać.

Mimo to, a raczej właśnie dlatego, Zespół nie był do końca usatysfakcjonowany tym zwrotem, zwłaszcza Ronson i Caster czuli się jak obrabowani. Rozumieli jednak taką konieczność i w końcu osobiście znajdowali się w centrum wydarzeń jako najważniejsi aktorzy tego dramatu. Choć tak na dobrą sprawę to nie bardzo wiadomo czy warto wypruwać sobie żyły dla tak prymitywnej, tak podatnej i niewybrednej widowni?

Czterech Niezwykłych, a więc Warren, Ti, niski, krępy Chińczyk, ostatnio z Tjanjin, Graham, niewiarygodnie czarny, wysoki i barczysty facet, zainstalowany na placówce rządowej w RPA oraz delikatny i wrażliwy de Beaune, mieszkający stale we własnej, francuskiej posiadłości pod Dijon, stanowiło niewyczerpywalne źródło wszelkich informacji i opinii na temat Obcych. Ale nie tylko. Wyposażeni tak nietypowo, również intelektualnie, dawali chętnie upust swoim niesamowitym możliwościom.

Ronson, Caster i Koen, trzej normalni, rozumieli to i czuli się przytłoczeni, chociaż Ronson, ten wieczny opozycjonista i malkontent chyba mniej. Wcale by się nie zdziwili i nie mieli by im za złe, gdyby Długowieczni traktowali ich z góry. Ale nie. Warren był jak zwykle rzeczowy i ostrożnie przyjacielski jednocześnie, Ti niewiarygodnie uprzejmy i uczynny, przyrządzał chętnie i poza kolejnością wymyślne posiłki z zamawianych i dostarczanych produktów. Graham okazał się chętnym do pomocy we wszelkich pracach fizycznych atletą i zdolnym matematykiem, a subtelny de Beaune zanudzał wszystkich dziwnymi, smętnymi balladami starofrancuskimi, które nucił chyba także przez sen, cały czas tęskniąc do swojej

pozostawionej nieopatrznie w domu gitary, podobno istnego cuda, wykonanego przez samego Amatiego. Zespół w szybkim tempie i bez kłopotów zżywał się wzajemnie.

Siedzieli właśnie wszyscy przy ognisku, pogryzając jakieś smaczne, brązowe patyczki mięsne, upitraszone wcześniej przez Ti na kuchence elektrycznej zasilanej a jakże, z elektrowni typu R&C. Wokół panowała idealna, bezwietrzna cisza nocna, urozmaicana tylko dalekimi, łagodnymi pohukiwaniami polujących gdzieś puszczyków. De Beaune kończył matowym barytonem swój kolejny referat prowadzony w płynnym angielskim – zresztą wszyscy Długowieczni znali perfect po kilkanaście najważniejszych języków świata. Rzec sama w sobie zrozumiała i niejako oczywista.

– Tak więc drodzy panowie, Hitler i Stalin to dwa potworne, jednak już wyłącznie naszej, człowieczej proveniencji wypryski na stosunkowo gładkim cieple nowożytnej Europy. Nasi Rodzice, Obcy i ich goście czy znajomi, mieli w tych czasach obficie zastawiony, urozmaicony stół. Jeszcze raz twierdzę, wiem, że odbywały się wtedy huczne, zakrapiane obficie przyjęcia na cztery fajerki, chociaż nie przez nas i także nie przez Nich organizowane. Między nami mówiąc to Obcy od kilkunastu już wieków, praktycznie się w nasze sprawy nie angażują. Ludzie sami, z własnej, nieprzymuszonej woli dostarczają im codziennie świeżej porcji artystycznych wzruszeń i to jest „nuda veritas”. To jest właśnie owa przykra, naga prawda.

– Mamy nad wyraz rozrywkowych Rodziców, zaśmiewających się skwapliwie z co znaczniejszej, krwawej rzecz jasna psoty, swojej nieodrodnej progenitury – rzucił od niechcienia Koen, wydaje się akceptujący bez sprzeciwu tak nieoczekiwane, tak niewiarygodne prawdy.

– Zgadza się – potwierdził stanowczo Graham.

Nastąpiła chwila ponurego milczenia, po czym ponownie uaktywnił się, nadaktywny jak zwykle Ronson.

– A co pan na to Ti?

– Owszem, zgadza się, ale są tu jeszcze inne aspekty sprawy – Ti miał przepraszający i łagodny wyraz twarzy. Przerwał mieszanie jakichś sosów czy przypraw w półsferycznym naczyniu ceramicznym. – Znacie już wszyscy moją teorię konsumpcyjnego przenikania się poziomów, których jest przynajmniej siedem. Uderza w niej niemożność pełnego porozumienia się między przedstawicielami sąsiednich warstw rozwojowych, uczestnikami ogólnie obowiązującego łańcucha pokarmowego, wynikająca po pierwsze z diametralnych różnic rozwojowych – spróbujcie nawiązać pełny kontakt intelektualny, mentalny, z dajmy na to krową, wędrującą właśnie pod batem do rzeźni, lub choćby szympansem – po drugie, ze sprzeczności interesów. Czy jest nam potrzebna niebanalna rozmowa i kulturalna wymiana światopoglądów z połędwicą w sosie własnym, którą zaserwował zgłodniałemu towarzystwu wyfraczony, uprzejmy kelner?

– Raczej nie – przytaknął Caster.

– No właśnie – kontynuował Ti. – Ale sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana. W pewnych sytuacjach, takich jak na przykład nasza, możliwe jest wykrycie istnienia sąsiedniego, bezpośrednio wyższego poziomu rozwojowego, ba, możliwe jest też czasem wykrycie jego działalności hodowlanej, konsumpcyjnej czy w inny sposób utylitarnej. No, ale wykrycie to jedno a przeciwdziałanie to drugie. Myślicie, że zwierzęta przetrzymywane masowo w ogrodach zoologicznych nie są świadome swojej niewoli? Jak najbardziej. One wiedzą, pełnią swojej ograniczonej oczywiście świadomości, o swoim beznadziejnym losie i o jego sprawcach. Ale cóż biedne mogą na to poradzić? Powiecie pewnie, że często taka niewola jest jedynym ratunkiem dla ginącego akurat gatunku – nikt ich przecież nie zabija, nie zjada, wręcz przeciwnie – gdy chcą, gdy się już jako tako zaadaptują, mogą się nawet rozmnażać do woli, z pożytkiem dla innych ogrodów. Owszem, ale cierpi jednostka, nie gatunek. Jeden za wszystkich? Zbawienie na siłę?

Ti najwyraźniej podniecił się swoim wywodem i w zdenerwowaniu zaczął bezwiednie lewitować, unosząc się powoli na około pół metra. Roztropnie Graham chwycił go delikatnie za stopy i ściągnął ostrożnie na ziemię. Biwakowe towarzystwo zachichotało wesoło. Chińczyk już się opanował i kontynuował przemyślenia.

– Przepraszam panów za chwilę nieuwagi. Sedno więc leży w tym, że tak czy owak, korzystnego dla obu stron kontaktu między sąsiednimi poziomami nie ma, choć jest on czasem, niepełny co prawda, ale możliwy. Jednak jakikolwiek kontakt mentalny poprzez poziomy, jest wykluczony absolutnie.

– Zaraz, zaraz – włączył się Graham. – Znane mi są wyniki poważnych badań nad odczuwaniem i różnorodnymi reakcjami roślin w korelacji z emocjami czy zamiarami badającego je eksperymentatora, człowieka, a więc istoty funkcjonującej o co najmniej dwa poziomy wyżej. Występuje coś w rodzaju telepatycznej więzi, co prawda raczej jednokierunkowej, ale zawsze.

– Właśnie jednokierunkowej – podchwycił Ti. – O to chodzi. Dowolny, niematerialny, bezpośredni przekaz informatyczny czy emocjonalny, możliwy jest wyłącznie w dół. Idee, poglądy, objaśnienia czy wznioślej, objawienia, prawdy, mogą tylko spływać, jak wodospad – w końcu woda może tylko spadać. Chyba, że dysponujemy pompą.

– To jest jak z śliczną, młodą panią, biegającą po łące – wtrącił Ronson. – Rozczuła się nad kolorowym kwiatkiem – jaki piękny, jaki delikatny, o pszczołka na nim siedzi. I dowartościowany, pobudzony telepatycznie kwiatuszek, rośnie, pręży się dumnie przed panią, by w następnej sekundzie trach – zostać brutalnie zerwanym i ciśniętym na spore już naręcze podobnych mu nieszczęśników, przeznaczonych na uroczy wianuszek dla bezmyślnego, młodego czółka.

– Tak jest monsieurs! – potwierdził skwapliwie de Beaune. –

Chyba, że panienka jest naprawdę rozgarniętą i wrażliwą osobką. A, to wtedy zastanowi się chwilę i zrezygnuje z idiotycznej, symbolizującej dziewiczą czystość ozdoby. Przeważnie zresztą mającej się nijak do stanu faktycznego, wiem coś o tym. Jednak również ona odniesie jakąś korzyść z podziwiania kolorowego, prześlicznego kwiatuszka.

– Jeśli już rozmawiamy tak metaforycznie, to czy możliwe jest istnienie podobnych, rozgarniętych panienek wśród Obcych? – rzucił od niechcienia Caster.

– Sądzę, że tak – cicho mruknął Warren, pocierając dłonią czoło. – Właśnie coś takiego miałem na myśli podczas dwudniowego biwaku nad Potomakiem z naszymi uczonymi – tu skłonił się w kierunku Ronsona i Castera.

– Czyżbyś miał jakiś plan, Steven? – zapytał Graham.

– Owszem. Jednak będziemy musieli go wspólnie przeanalizować i dograć w szczegółach dopiero po dokładnym zorientowaniu się w jakże obiecujących możliwościach naszych dwóch uczonych.

– Jeszcze chwila! – zakrzyknął prawie, milczący dotąd i ponury Koen. – Widzę co krok wasze wyczyny, wasze... niesamowite umiejętności, słucham konkretnych, rzeczowych dyskusji i czuję, że wariuję. Szefie! – zwrócił się do Warrena – Gdzie tutaj miejsce na zwykłe, ludzkie pojmowanie i uczucia, gdzie miejsce na serce, sprawiedliwość, ...Boga?

Wszyscy patrzyli teraz na niego smutno i tylko Graham, siedzący najbliżej, porwał skołowaną głowę Koena w swoje wielkie, czarne łapska i ucałował go serdecznie w czoło. Rozległy się ciche brawa pozostałych biwakowiczów.

– To jest właśnie prawdziwe człowieczeństwo. Niestety w tym właśnie problem. Witam cię Kris w jakże Niestety elitarnym klubie rozgoryczonych i zdezorientowanych – Warren wylewnie ścisnął dłoń Koena. – Witam w klubie nieprzespanych nocy, męczących i żałośnie bezowocnych poszukiwań, lat całych,

strawionych nad wszelką dostępną i niedostępną literaturą. Wiem. Ty jesteś wierzącym i czującym katolikiem i jestem w stanie zrozumieć twoje wątpliwości. A czy wyobrażasz sobie nasze rozterki po systematycznej, przymusowej indoktrynacji przez Obcych? Chłopie! To był koszmar.

– Wyobrażam to sobie, jednak nie mogę się pogodzić z taką rzeczywistością jaka mi się jawi od kilku dni – na bladej twarzy Koena widać było cierpienie.

– Cóż, będziesz musiał sobie z tym jakoś poradzić – łagodnie odezwał się Ti. – Musisz jednak wiedzieć, że wszystkie te nowe dla ciebie fakty, cały ten potężny i nagły okrucieństwo wiedzy jaka się na ciebie zwała, wcale nie wyklucza, nie unieważnia twojej części prawdy, twojego rozumienia rzeczywistości. My wszyscy poruszamy się, żyjemy, w oceanie niewiadomego, w przestrzeni tak zasadniczo pustej, że każdy napotkany pyłek, kamyk, chętnie przyjmujemy za samą rzeczywistość, a w najlepszym razie za jej wierny odprysk. Natomiast cała Prawda jest według mnie nieogarniona z założenia. Mimo wszystko jednak my, Nietypowi, jesteśmy bezpośrednio, w sprawdzalny sposób, pewni istnienia, ...wybacz, ...wyższych niż ludzki poziomów. Pozwala to nam ogarnąć większy niż tobie, wam, fragment Prawdy. Ale na szczegółowe wyjaśnienia i wykłady przyjdzie jeszcze czas, jak sądzę. Teraz musimy się uporać z potężną co prawda lecz nie niemożliwą według mnie do pokonania, przeszkodą.

– Niech się stanie – dorzucił Graham i wszyscy roześmieli się szczerze.

Siedzieli przy dogasającym powoli ognisku. Wokół piętrzyły się wysrebrzone światłem księżyca zbocza okolicznych, poszarpanych nieprzyjaźnie gór. Każdy z biwakowiczów trawił w sobie wydarzenia ostatnich dni. Ronson, z natury nieufny, wyzbył się ostatnio dużej części swoich obaw, zwłaszcza w obliczu demonstrowanych tu obficie niezwykłych faktów i właściwości. Znając Castera od lat, nie dziwił się jego ledwie maskowanemu

entuzjazmowi i gotowości pełnego otwarcia wobec najwyraźniej uczciwych i pełnych dobrych chęci Długowiecznych, sam jednak zastanawiał się jeszcze czy obaj postępują właściwie, cedując niejako swoje życiowe szanse na tę grupę. W końcu jednak musiał zaryzykować – i tak w głębi pragnął czegoś w rodzaju zewnętrznego przewodnictwa, prowadzenia. To uspokajało i zdejmowało z serca znaczną część ciężaru odpowiedzialności za siebie i za Sida. Zdecydował ostatecznie.

– Panowie. Obaj z Sidem jesteśmy gotowi do wszelkich wyjaśnień i demonstracji. Jeżeli tylko istnieje realna szansa pozbycia się naszych odwiecznych Opiekunów, to proszę bardzo, dysponujcie nami. Mam rację Sid?

– Całkowicie Harvey – uśmiechnął się Caster.

Oświadczenie to spotkało się z entuzjazmem pozostałych członków zespołu. Zrozumieli, że nastąpił przełom, że od tej chwili pozostaje już tylko praca nad tworzeniem realnego Planu, o ile taki jest możliwy do wykonania. Tej nocy nie spali tylko Koen, absolutny, po sprawie podsłuchowców abstynent, oraz Ti, który chętnie przejął obowiązki wartownicze od chrapiącego teraz bez skrępowania, Grahama.

Tak oto nastąpiło strategiczne pojednanie między trzema owieczkami a czterema psami pasterskimi, najwyraźniej niesubordynowanymi opiekunami i nadzorcami tego ogromnego, rozrastającego się wciąż z samobójczym, masochistycznym upodobaniem i bez żadnego opamiętania, ku uciechu Obcych Stada.

W ciągu kilku następnych dni odbywało się intensywne szkolenie Długowiecznych. Jedynym tematem był czas i jego natura. Wykładowcy, Ronson i Caster nie mogli się nadziwić niespotykanej chłonności, inteligencji i bystrości wszystkich czterech kursantów, no ale Obcy chyba wiedzieli co robią wybierając na swoich rezydentów właśnie ich. Był niewielki problem z Koenem, który po ukończeniu studiów prawniczych

przed dobrymi kilkoma laty, dysponujący głównie wytrenowaną i trzeba to przyznać, zasobną w tym względzie pamięcią, nie miał jednak nigdy potrzeby ani przymusu forsownej, twórczej i analitycznej gimnastyki umysłowej.

* * *

Czas jest jednym z czterech równouprawnionych wymiarów naszej rzeczywistości, skądinąd banalna od kilkadziesiąt lat prawda. Współrzędne przestrzenne, pozwalające precyzyjnie umiejscowić dowolny punkt, muszą opierać się na trzech, umownych zresztą, danych liczbowych, związanych z trzema, wzajemnie prostopadłymi płaszczyznami – wysokością, szerokością i głębokością. Czas jest czwartą współrzędną, przynależną do swojej płaszczyzny, prostopadłej do pozostałych trzech, czego naturalnie nie można sobie wyobrazić. Tak więc o położeniu punktu można powiedzieć, że znajduje się tak a tak wysoko, na takiej to a takiej szerokości, następnie głębokości i w takiej to a takiej chwili. Jeżeli nasz punkt będzie miał możliwość poruszania się, niech to będzie ryba oceaniczna, to może się ona dowolnie przemieszczać w pionie, w kierunkach północ-południe oraz wschód-zachód. W trzech płaszczyznach.

W czasie natomiast nie może się poruszać dowolnie, jedynie w kierunku przyszłości, w dodatku z raz na zawsze ustaloną prędkością. Nasza ryba, ale i wszystko co istnieje, w tym my sami, zsuwamy się, spadamy po płaszczyźnie czasu, równolegle do niej, w dół, ku przyszłości. I jest to proces niekontrolowany, automatyczny. Nie jest zresztą do pomyślenia kierunek odwrotny, no bo jak – najpierw występuje skutek czy przyczyna? Czy możliwym jest, by dajmy na to rozbita szklanka strącona na podłogę złożyła się samoistnie w całość i znalazła nieuszkodzona na stole? Oczywiście nie. Kolejność wydarzeń jest ściśle określona i jak najbardziej słuszna. Najpierw przyczyna a następnie jej skutek, efekt.

Wnioski, wypływające z tak nakreślonego obrazu są niestety jednoznaczne. Podróże w czasie są niemożliwe. Wszyscy spadamy

z taką samą „prędkością” ku przyszłości i nie ma na to rady. Ale czy rzeczywiście? Przecież jeżeli możemy się dowolnie poruszać w trzech pozostałych wymiarach a wszystkie cztery wymiary niczym się od siebie nie różnią, to skąd ta niemożność?

Problem jest czysto energetyczny. Jeżeli chcemy się przemieścić, dajmy na to z Waszyngtonu do Los Angeles, to musimy na to zużyć jakąś tam ilość energii, tym większą im szybciej chcemy to zrobić, z im większą prędkością. Gdybyśmy chcieli polecieć do najbliższej po Słońcu gwiazdy, Alfa Centauri, to dysponując współczesnymi środkami technicznymi, musielibyśmy zużyć na to całe morze energii i kilkadziesiąt lat życia. Tymczasem światło biegnie tam (lub stamtąd) 4,3 lat, bez zauważalnego powiedzmy „zmęczenia”. Dlaczego?

Po pierwsze dlatego, że fotony to cząstki nie posiadające masy bezwładnościowej, po drugie dlatego, że przemieszczają się w przestrzeni z prędkością „c” – światła właśnie. Zależności te odkrył i opisał w swojej Szczególnej Teorii Względności Albert Einstein. Innymi słowy wszystko co chce przemieszczać się z prędkością „c” nie może posiadać masy bezwładnościowej, a wszystko co istnieje i nie posiada tej masy może znajdować się tylko w stanie „c”.

Jaki to ma jednak związek z podróżami w czasie? Ano taki, że teoretycznie nie jest zabroniony „skok” wzdłuż naszej płaszczyzny czasu, byle by był wykonany momentalnie lub co najmniej z prędkością „c”, pod oczywistym warunkiem, że „skaczący” pozbędzie się całkowicie własnej masy bezwładnościowej. Ba! Ale jak to zrobić?

Ronson i Caster, podczas swoich wieloletnich eksperymentów z polem antygravitacyjnym odkryli dziwne zjawisko. Jeżeli przynajmniej dwa emiterzy pola skierować dokładnie na siebie i elektronicznie, w prosty sposób, zsynchronizować ich pracę, to między nimi powstaje przestrzenny obszar, charakteryzujący się zdolnością do likwidacji masy nie tylko grawitacyjnej ale i

bezwładnościowej. Polega to na tym, że umieszczony wewnątrz tej strefy np: pięciofuntowy odważnik poddaje się przemieszczeniom o dowolnej amplitudzie (w granicach strefy) i częstotliwości, a to właśnie oznacza brak tej masy. Wykonali prosty przyrząd, składający się z elektromagnesu pobudzającego okresowo długą, metrową listwę metalową tak, że ta drgała radialnie ze znaczną amplitudą jednego końca. Coś jak duża drumla, usztywniona jednym końcem w zębach grającego na niej artysty. Na jej swobodnie drgającym końcu mocowali kolejno coraz większe odważniki, badając jednocześnie amplitudę i częstość wychyleń. Żadnych zmian, żadnego wpływu. Wniosek prosty. W obszarze strefy likwidowana jest masa bezwładnościowa.

Dodatkowo, moc potrzebna do zasilania umieszczonego tam elektromagnesu jest prawie żadna, tzn. jego cewka nie pobiera praktycznie mocy, płynie tylko niewielki prąd związany z oporami mechanicznymi urządzenia i niewielkimi stratami przebiegunowania, zamieniany w całości na ciepło. Potrzebne jest jedynie napięcie, przemienne oczywiście, konieczne do pokonania dużej indukcyjności cewki. Rzecz jasna w warunkach rezonansu równoległego.

Po latach doświadczeń, prób i błędów, opracowali wszelkie zależności, stworzyli przydatny dla tych zjawisk aparat matematyczny, jednym słowem opanowali zagadnienie w całości. Nauczyli się wytwarzać strefy o dowolnych kształtach i wymiarach. Przetestowali zachowanie się w nich wszelkich możliwych żyjatek i stworzeń, nie robiąc im zresztą żadnej krzywdy.

Całe wnętrze obszaru zerowego, jakiego by nie było kształtu, jest jakby samoistną, autonomiczną, czasoprzestrzenią, przemieszczaną synchronicznie z drgającym polem antygrawitacyjnym, raz w przyszłość, raz w przeszłość. Amplituda tych skoków zależy wyłącznie od stromości zboczy „popychającego” strefę zewnętrznego pola antygrawitacyjnego – stromość narastająca popycha w przeszłość, a stromość

opadająca w przyszłość. Jeżeli składowa stała tego pola jest zerowa, tzn. jeżeli przebieg popychający jest idealnie obustronnie symetryczny, wypadkowe przesunięcie czasowe strefy w stosunku do czasu zewnętrznego, jest także zerowe. Jeżeli jednak wprowadzić świadomie i celowo do fali popychającej składową stałą, np: dodatnią, to wypadkowe przesunięcie czasowe strefy będzie dodatnie, czyli cała zawartość tego obszaru znajdzie się w przeszłości w stosunku do czasu zewnętrznego. I odwrotnie, jeżeli składowa stała będzie ujemna, nastąpi przesunięcie w przyszłość. Częstotliwość „popychania” jest dowolna i wynika jedynie z parametrów emiterów antygravitacyjnych.

Dla obserwującego z zewnątrz ten obszar zerowy, nic się tam szczególnego nie dzieje. Umieszczony wewnątrz zegarek, wypadkowo nieprzesuwany w czasie, normalnie i w sposób widoczny chodzi, wskazuje właściwą godzinę. Myszka pogryza spokojnie swoje ziarenka a pies obsikuje co może. Jeżeli jednak dokonuje się przesunięcie, obojętne w którą stronę, zegarek zatrzymuje się a mysz i pies nieruchomieją jak cynowe figurki. Są właśnie w trakcie wykonywania skoku czasowego przebiegającego z tego punktu widzenia momentalnie, a więc wszelki ruch, wszelkie procesy i przemiany zostają wstrzymane do chwili zatrzymania, zakończenia skoku. W tym stanie dostęp do wnętrza strefy jest niemożliwy. A światło, zapytacie? No cóż. Ronson i Caster też się nad tym początkowo głowili, jednak tylko dlatego, że zapomnieli, że fala elektromagnetyczna jest ze względu na „c” zjawiskiem bezczasowym. Jeżeli napotyka obiekt, przestrzeń o innym zwrocie strzałki czasowej, po prostu nie zauważa tego. Jedyne co ją jest w stanie „ruszyć”, to silne oddziaływanie grawitacyjne, czasem rzeczywiście będące przyczyną różnych anomalii czasowych, np: w okolicy tzw. czarnych dziur. Ale to już inna historia.

Tak więc stało się możliwe skonstruowanie dowolnie obszernego pomieszczenia, wyposażonego we wszelkie potrzebne rzeczy i

akcesoria, „popychanego” z zewnątrz, radiowo sterowanymi emitorami, zasilanymi super elektrowniami R & C.

Całość powinna być zbudowana na dobrze zdefiniowanym geologicznie terenie, gdzieś w zawsze bezludnej okolicy, np: na dnie jeziora Michigan. Obiekt taki powinien być zdolnym do przemieszczania się po lądzie i wodzie, a najlepiej gdyby to był obiekt kosmiczny typu prom lub inna jednostka zdolna do wielokrotnych startów i lądowań. Ewentualna załoga nie musi zabierać jakichś wielkich zapasów żywności czy tlenu gdyż w trakcie wykonywania skoku wszystkie funkcje fizjologiczne są zawieszone, załoganci są mówiąc prawdę martwi. Odwracalnie.

Krótko rzecz ujmując zupełnie możliwe i realne są obukierunkowe podróże w czasie, bez konieczności naruszania zasady wzrostu entropii. Niestety bez odpowiedzi pozostaje pytanie o tzw. paradoks dziadka, tzn. co się stanie gdy podróżnik w czasie cofnie się o pięćdziesiąt lat i zabije własnego dziadka? Czy przestanie w tym momencie istnieć? Czy Czas toleruje jakiekolwiek korekty i ewentualnie jak drobne?

No ale to już nie są kłopoty wyłącznie dwóch uczonych. Od tej chwili stają się członkami Zespołu i mają nadzieję korzystać z wszechstronnego wsparcia rządowego, w tym z dostępu do technologii i fabryk wojskowych, najnowszych materiałów, wszelkich danych i całej armii specjalistów najwyższej klasy.

CIAĞ DALSZY NASTAPI

Autor: golesz (golesz@wp.pl)

Nadesłano do „Wolnych Mediów”